

Kraj Bolivara



Florian Śmieja (pierwszy z lewej) w Caracas.

Florian Śmieja

Wenezuela nie leży na utartym szlaku amatorów turystyki wyprawiających się najchętniej na wyspy Karaibskie, Florydę czy do Meksyku. Ale ten, kto zasmakował w świecie Latynosów, powinien prędzej czy później puścić się dalej. Czasem będzie to sprawa przypadku. Wybierałem się do Kolumbii do Bogoty, ale wylądowałem w Caracas w Wenezueli.

Z Toronto chciałem lecieć urozmaiconą trasą przez Trinidad, cóż kiedy samolot się spóźnił i w Nowym Jorku trzeba było przesiąść się na samolot linii Viasa. Współpasażowie, Wenezuelczycy, objaśnili wnet, że w ich kraju ustawicznie świeci słońce, dojrzewają pyszne owoce i jest doskonała kawa. (O tym ostatnim miałem się wnet potem przekonać, bo tę kawę podawano w różnych postaciach, najczęściej słodką i piło się ją przez słomkę). Jabłka natomiast kosztowały fortunę, ale zrezygnowanie z nich na rzecz konsumowania fioletowo-czerwonego mango, czy najróżniejszych odmian bananów, nie martwiło nikogo.

Viasa ma staroświeckie zwyczaje podawania pasażerom jadłospisu w języku angielskim i hiszpańskim. Wiele lat wcześniej na London School of Economics moim studentem był syn właściciela Viasy. Kto wie, gdybym był utrzymał z nim kontakt, to może poleciałbym pierwszą klasą? Lot był spokojny, przed samym celem trochę nas pohańtało.

Lotnisko leżało nad samym morzem. Taksówkarz gnał jak szalony mamrocząc w niezrozumiałym dialekcie. W porównaniu z jego jazdą huśtanie samolotu było fraszką. Mijał z prawej strony, wjeżdżał na chodnik, ale ponieważ żaden instrument w jego samochodzie nie był oświetlony, nie mógłbym w razie czego przysiąc, że jechał nieregularnie. Na szczęście miał hamulce.

Z mroku wyłaniało się Caracas, miasto zamknięte w dolinie górskiej, duszące się, oddychające wąską krtanią splątanych dróg i wiaduktów z ruchem drogowym, który przyprawiał o nerwicę. Całe nasze zjazdowe towarzystwo zostało zakwaterowane na piętnastym piętrze hotelu Hilton. Dzieliłem apartament z sędziwym profesorem z uniwersytetu Yale, Kubańczykiem z pochodzenia, z teatrologiem z Buenos Aires, z dyrektorem teatru w Limie oraz z profesorem meksykańskim. O spaniu nie było mowy, Latynosi nie uznają wczesnego chodzenia do łóżka. Mój towarzysz z Limy pogubił różne drobiazgi, więc pożyczył ode mnie grzebień: trudno było wejść w bardziej intymną komitywę.

Podczas obrad poświęconych historii teatru Ameryki Łacińskiej, a odbywającym się w gmachu Ministerstwa Oświaty, powstał na ulicy tumult. To młodzież licealna przyszła domagać się dofinansowania ich szkół. Kiedy wybuchła petarda jako zaczepka czy też prowokacja, policja ruszyła do akcji. Postrzelała w powietrze, rzuciła gaz łzawiący, a dobywszy pałek zaczęła łoić studenterię. Wnet stała się panem pobojowiska zasłanego transparentami, plakatami i częściami garderoby. Lokalni teatrologowie skomentowali zajście jako stały teatr życia. Myślę teraz, że kto z bliska nie oglądał i nie przeżył dramatu latynowskich stosunków politycznych i społecznych, będzie miał bardzo niekompletne wyobrażenie o rzeczywistości Ameryki Łacińskiej.

Wspomniałem wielki ruch w Caracas, a równocześnie ciasnotę. Otóż w niedzielę autostradę, która prowadzi przez środek miasta zamyka się dla ruchu kołowego i wtedy ludność wylega na deptak, a dzieci mają szczególną uciechę. Wenezuela ma bogate złoża ropy, dlatego benzyna jest tania i stąd zatrząsienie samochodów, choć są one kosztowne. Wszystko zresztą oprócz owoców i napojów jest drogie w

Wenezueli. Trudno jest zrozumieć, jak przy takiej drożyznie ludzie ubodzy potrafią się wyżywić, ubrać i mieszkać. Sprawę komplikuje przeludnienie Caracas. Tysiące nędzarzy z całego kraju pobudowało sobie na okalających stolicę pagórkach tzw. ranchitos, budy sklecone z byle czego i mieszkają w okropnych warunkach zdrowotnych. Żyjąc z czego się da, mieszkańcy tych slumsów nękają ludność stolicy napadami i kradzieżami, czego i nasza grupa doświadczyła.

W Caracas trzeba zobaczyć panteon na wzgórzu, w którym spoczywa Simón Bolívar, bohater wyzwolenia Ameryki Łacińskiej. Czterech żołnierzy, Metysów w oliwkowych mundurach z amarantowymi wypustkami trzymało straż pod karabinami. Po zmianie warty ci czekoladowi wojacy w białych rękawiczkach i białych pasach płynęli wzdłuż nawy świątyni z lekkością tancerzy i ludzi tropików, jakby te zgrabne ruchy najwierniej składały hołd człowiekowi, który otworzył im drogę do współgospodarowania piękną, bogatą ziemią, nazwaną przez naiwnych odkrywców, Małą Wenecją.

Orchidea jest narodowym kwiatem Wenezueli, która chlubi się kilkudziesięcioma odmianami tego kwiatu i wiele ich rośnie dziko w puszczech. Jej flora jest przebogata, nie mogłem się napatrzeć urodzie różnorodnych krzewów uginających się pod ciężarem wielobarwnych, wonnych kwiatów, od których odrywały się chmary gibkich, wąskoskrzydłych motyli, czarnych pod spodem, a z czerwonymi lub cynobrowymi plamkami z wierzchu. Tropikalny gąszcz, o który zawadziłem w górach za Maracay dyszał życiem, szumem wody, kumkaniem żab, szczekaniem ropuch, muzyką cykad i ptaków oraz myszkowaniem dydelfów, ssaków wielkości kota z pyska i ogona podobnych do pancernika. Na skwerze w śródmieściu Caracas zobaczyłem trójpalcego leniwca schodzącego z palm, jak ociężały elektryk ze słupa, który potem czołgał się do następnego drzewa.

Wielu Wenezuelczyków dla osobistego bezpieczeństwa nosi broń. Kobiety tamtejsze są zgrabne, śliczne, o wszystkich odcieniach cery, umalowane są dyskretnie i bogato ozłoczone. Cechuje je elegancja. Nie rezygnują z niej nawet, kiedy ubierają dzinsy, które ozdabiają koronkami. Wydały mi się przesympatyczne, godne i wyrozumiałe. Często wyzyskiwane i dyskryminowane posiadają wiele słodyczy, dobroci i uroku egzotyki.